

Wirujące oko umysłu

Jan Gondowicz

Tuż po kończącej Wielką Wojnę zawieszaniu broni siedemnastoletni Roger Caillois, przyszły mitograf i akademik, znalazł się w Paryżu, gdzie odkrył istnienie bibliotek. Na placu Panteonu, jak opowiada w autobiografii *Le fleuve Alphée*, zgłębiał broszury alchemiczne Strindberga, a na quai d'Orléans rzecz jeszcze ciekawszą: *Genèse par l'esprit* Słowackiego. Jak nikt inny studiował te teksty naraz w poczuciu duchowej wspólnoty, gdyż i on całe życie poszukiwał wiedzy osobnej, którą trzeba dopiero odszyfrować, wywiedzionej z natury, lecz odrębnej od jej doświadczania.

W literaturze polskiej tylko pisma genetyjskie Słowackiego dać mogą pojęcie o strefach, które w pół wieku później i też głównie w Paryżu starał się objąć myślą Strindberg. Obaj działali w najwyższym wyostreniu uwagi, na pograniczu wizjonerstwa i halucynacji. Poza wszystkim, na czym zatrzymywał się ich wzrok, majaczył niedostępny nauce akademickiej wyższy porządek rzeczywistości. Stąd ironia *Listu do Rembowskiemu*, zawierającego *Dowód, że nauka dzisiejsza niezdolna jest żadnej syntezy, o duchu nie wiedząc*, lub drwiny z relacjonowanych w *Raptularzu* prób Faradaya ugięcia światła w polu magnetycznym:



„Francuz kończy, iż może to posłuży do odkrycia fenomenów elektro-magnetyzmu – duren! Posłuży ci do odkrycia ducha twego sil i powie, czym jesteś”. Takież pasje miotają Strindbergowie: filozofowie to „jadowite węże, bazyliżki, żmijki, hemoroidy i latające węże”, naukowcy to „czarownicy i szarlatani”. Ślepotą i złą wolą kliki uczonych są bowiem równie jawne, jak wyłaniający się kontur alternatywnego kosmosu.

Widząc opatrzone notatkami w *Raptularzu* Słowackiego szkice listków roślin z

Pornic, pisarz szwedzki rozpoznalby analogiczną do własnej pracę wyobraźni. Z tym samym napięciem badał oblicza widoczne na pancerzach krabów z Öresundu, kwiaty lodowe na szybach, fałdzistość mózgu w orzechu włoskim. Odkrył, że żrenica oka z tęczęwką to obraz słońca w koronie promieni. W oku zaś kąt między płamką żółtą a płamką ślepa wynosi 23°, równe nachyleniu osi ziemskiej do płaszczyzny ekliptyki. A skąd wziął się w uchu ślimak? Cemu kostki słuchowe tak są podobne do ślimaka zatoczka rogowego, gdy wyciągnąć go ze skorupki? I czemu serce ma kształt pąka lotosu? Toż to nie przypadek!

Ktoś zdolny do takich iluminacji, nie będąc uczonym, nie jest też jednak profanem. Staje się odgadywaczem znaków, jakimi przemawia natura. Strindberg zdaje się tu następcą niezwykłych Szwedów: monografisty węża morskiego, biskupa Uppsali Olaus Magnusa (1555), dalej odkrywcy Szwecji jako Atlantydy (ze stolicą w tejże Uppsali), Olaus Rudbecka starszego (1675), a wreszcie wizjonera (od 1745) Emanuela Swedenborga, który także prowadził dziennik snów. Z tym, że swój kosmos Strindberg powołał do życia w okolicznościach zgoła tragikomicznych, koczując w stanie ducha bliskim paranoi jako alchemik-amator po paryskich hotelach i próbując dokonać transmutacji w podwędzonym z piwnicy kotła do prania. Pozostała z tego relacja nazwana z dantejską *Inferno* i receptura produkcji złota, którą w braku gotówki obdarzył po latach na pożegnanie kolejną żonę. Oraz dziennik sekretny, potwierdzenie

recenzje

wspaniałej formuły Gastona Bachelarda, że „geneza bierze początek z gehenny”.

Wzniesiony przy tym gmach wiedzy nieścislej opisuje fascynująca książka Jana Balbierza *Nowy kosmos. Strindberg, nauka i znaki*. Wstydliwie usuwana w cień część dorobku wielkiego pisarza urasta tu do rangi, jaką nadał przyrodznawstwu Goethego znany nam z Miłoszowskiej Ziemi Ulro Erich Heller. Strindbergowska detronizacja nauki wychodzi w istocie z identycznej intuicji, co „wojna trzydziestoletnia” Goethego z Newtonem: że oto zerwana została więź wewnętrznego świata ludzkiego ze światem zjawisk, niwecząc odwieczną tradycję symetrii mikro- i makrokosmosu. Rzecz jasna, w sto lat po Goethem sytuacja Strindberga była jeszcze trudniejsza. Bądź co bądź właśnie w roku 1897, gdy opublikował *Inferno*, sir J. J. Thomson nadgryzł atom, wyodrębniając elektron. Toteż Strindberg konsekwentnie neguje zarówno teorię atomistyczną, jak odkrycia Roentgena i małżonków Curie, a wraz z tym resztę kanonu: chemię pierwiastków, optykę newtonowską, mechanikę niebieską, system kopernikański i kulistość Ziemi. Wraca mentalnie do Paracelsusa, któremu historyk nauki A. R. Hall przypisuje „w pełnej mierze dar okłamywania samego siebie, cechę tradycji hermetycznej”. Balbierz przejmująco kreśli obraz umysłu nekannego poczuciem osaczenia fikcją, naukową denaturalizacją natury. Z desperacją bohatera *Truman Show* Strindberg rozdiera tę fikcję, gdziekolwiek się na nią natknie.

„Często odnosi się wrażenie – pisł Tomasz Mann – że nauki przyrodnicze, które zrodziła przeciw szlachetna żądza poznania i entuzjazm, i które sam Strindberg jako chemik i alchemik uprawiał namiętnie, że całą tę naukę uważa za bluźnierstwo, zachwalstwo i grzech. Zdawać by się mogło, że byłby skłonny raczej uznać gwiazdy za dziury w kopule niebieskiej, poprzez które sływa na ziemi wiekuista światłość, niż uwierzyć w pomiary i obliczenia astronomów”. Ten sam los spotyka meteorologię, geologię, językoznawstwo porównawcze, egiptologię i sinologię, bo Strindberg nie ufa niczemu prócz wewnętrznego podszeptu: „Znów wszyscy się myślą”. Efekt jest tak niepokojący, że specjalnie zajrzałem do nietłumaczonego bodaj szkicu Einsteina *W kwestii metody fizyki teoretycznej*. Wyłożone tam szczególnie odkrywcze procedury mentalne z eksperymentem myślowym na czele niczym się, o zgrozo, od Strindbergowskich nie różnią. Tyle że Einstein używa nieco innej matematyki.

Z rozpatrywanych poza prawdą i fałszem pism (pseudo)naukowych Strindberga, z fantazmatycznej otoczki ich spostrzeżeń i wniosków, a może raczej z właściwego im napięcia między świadomym projektem a jego nieświadomą figuracją wyłania się niezaprzeczalny walor literacki. Regresji ideowej w niewytłumaczalny sposób towarzyszy – aż strach pomyśleć, że przez nią uwarunkowany – wzlot duchowy. Nie ulega wątpliwości, że tu właśnie biją źródła późnej, rewelacyjnej

dramaturgii *Gry snów*, *Sonaty widm* i *Do Damaszku*. Tym właśnie związkom autor *Nowego kosmosu* zamierza poświęcić kolejną książkę ze Strindbergiem w roli głównej.

I tu trzeba podkreślić rzecz ważną. *Nowy kosmos* należy do publikacji z gatunku tych, którym poświęca się kilkanaście lat życia. By coś takiego napisać, trzeba – bagatelnie – nauczyć się szwedzkiego, przestudiować parę tysięcy stron dość szalonych rozważań na temat niemal wszystkiego, zdobyć poparcie nie mniej niż ośmiu instytucji, spędzić wiele miesięcy nad manuskryptami w Strindbergowskim archiwum i opanować narosłą przez sto lat wiedzę (bibliografia sekundarna książki liczy 261 pozycji). Ogarnąć porządek faktów i porządek wyobraźni. Tym sposobem powstało dzieło niejako ponad stan aktualnej humanistyki polskiej, o europejskim wymiarze i rozległym horyzoncie. Jeśli można na coś zarzucić, to uchybienia w terminologii. Zamiast ciężar (czy masa) atomowa Balbierz nagminnie pisze „waga atomowa”, tygiel zwie czarką, poczwarukę larwą, a ekliptykę eklipsą. Trudno nie widzieć w tym pozagrobowej zemsty Strindberga, który nie przepuścił nikomu, żeby mu nie dokuczyć. □

Jan Balbierz, *Nowy kosmos. Strindberg, nauka i znaki*

Jan Balbierz
NOWY KOSMOS

: Strindberg, nauka i znaki. – Gdańsk: „słowo/obraz terytorium”, 2009. – 458 s., 10 k. tabl. : il. (w tym kolor.); 23 cm
821.113.6(091):929]18/19”(02.025.2)A/Z